



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Prawo bezwładności najwięcej dostarcza nam przedmiotów do ciekawych doświadczeń. Rysunek przedstawia duże jabłko, owinięte bardzo luźno w chusteczkę, i zawieszono

na sznureczku. Bierze się do ręki, czy to pałasz, jak na rysunku, czy to jakikolwiek nóż o brzeszczocie dość grubym, nie powinien być jednak tępy. Ostrzem uderza się silnie i szybko o jabłko, jak przedstawia rysunek, a przetnie się je na dwoje, nie naruszając wcale chusteczki, która wraz z nożem przejdzie przez środek jabłka, ruch nadany pociągnie ją za sobą. Nie możemy jednak za to odpowiadać, jeśli ktoś niezręcznie się do tego weźmie i zamiast jabłka, uszkodzi chustkę; dlatego też radzimy wziąć na pierwszy raz przynajmniej szmatkę jakąś niepotrzebną, i chusteczki nie narażać.

## Forum za Cezarów.

OBRAZEK Z DZIEJÓW RZYMSKICH.

przez **Maryą Leonę.**

PRETOR.

Teraz kolej Marcyana; o boski Cezarze, Dziwnie on jest uparty, choć młode pacholę. Wprawdzie ród cały taki; dawne senatory Nie umieją zapomnieć, że już bezpowrotnie Minęły dni ich dumy, że dziś ten wznesiony, Kogo twe boskie oko wyróżni wśród tłumu.

DOMICYAN.

Dość tój rozwlekłej mowy, wprowadzić go!

PRETOR.

Panie!

Podejrzewam, że u nich chrześcijańskie zbory,  
Niech mądrość twa osądzi, czy zręcznie badałem,  
Czyżbym wiódł jedno dziecko przed boskie oblicze,  
Gdyby za niem ród cały nie stał?

DOMICYAN.

Dać go tutaj!

(*po chwili do pretora*).

A dawno go już trzymasz?

PRETOR.

Już od dni czterestu,

Głód znosił, znosił chłosty, bok mu przypieczono,  
Dziwnie uparte dziecko.

(*Wprowadzają Marcyana*).

DOMICYAN.

Jakie imię twoje?

MARCYAN.

Justus Martianus Cassius.

DOMICYAN.

Ojciec?

MARCYAN.

Martius Cassius.

DOMICYAN.

A matka ze Scypionów wywodzi się rodu?

MARCYAN.

Tak.

DOMICYAN.

Krew to znakomita. To w tak wielkim domu  
Pewno liczni klienci, możni przyjaciele  
Gromadzą się ochocho uczyć senatora?

(*Marcyana milczy*).

Czemu nie odpowiadasz?

MARCYAN.

W wieku mym, Cezarze,

Czyliś ciekawie wchodził w swego ojca czyny?

DOMICYAN.

Tak mówisz do Augusta? Wyciąć mu policzek.

(*jeden z liktorów uderza go, Marcyan wstrząsa się oburzeniem, ale się hamuje*).

DOMICYAN (*po chwili*).

Przebaczę ci, względ mając na dzieciństwo twoje,  
Tylko mi na pytania odpowiadaj jasno.

Ile masz lat?

MARCYAN.

Dziesiąty.

DOMICYAN.

Rodzeństwa masz wiele?

MARCYAN.

Dwóch braci i dwie siostry.

DOMICYAN.

Tyś najmłodszy w domu?

MARCYAN.

Nie, dwoje idzie po mnie.

PRETOR (*do Domicjana*).

Prześwietny Cezarze,

Tegom chłopca uchwycić zdołał niespodzianie,  
Resztę dzieci rodzice spłoszeni wypadkiem  
Uwięźli, czy ukryli.

DOMICYAN (*do Marcyana*).

Gdzie oni być mogą?

Milczysz? (*po chwili*).

Tyś chrześcijanin?

MARCYAN.

Tak! jam Chrześcijanin.

DOMICYAN.

A oni?

Milczysz znowu? Mniejsza o twe słowo,  
Któżby cię był wychował w tój wierze plugawej,  
Jeżeli nie rodzice? a wywieźli tamte,  
Bym ich wydrzeć nie kazał, oduczyć bluźnierstwa.

(*Po chwili*).

Słuchaj! mnie żal młodości twojej. Biedne dziecko,  
Widzisz, tyś narażone na najsroższe kary,  
A rodzina się kryje twoja; ojciec, matka,  
Zostawiają cię losom...

MARCYAN.

Jestem w ręku Boga.

DOMICYAN.

Lecz oni opuścili cię!

MARCYAN.

Rodzeństwo małe

Opieki potrzebuje; ja już myśleć umiem,  
Za łaską mego Pana.

DOMICYAN.

Któż twój Pan?

MARCYAN.

Bóg, Chrystus.

DOMICYAN.

Wytnijcie mu policzek. Pamiętaj na zawsze,  
Ze twym panem jest Cezar — i bogowie Romy.

MARCYAN.

Cezar panem na ziemi, kiedy rządzi Romą,  
Ję bogi nie broniły od tego upadku,  
Cezar mojego życia panem — wziąć je może.

DOMICYAN.

Ha! umiesz tak przemawiać! Taki jeszcze mały?  
Zaraz powiesz mi miejsce, gdzie twój się kryją,  
I wymienisz nazwiska tych, co w waszym domu  
Schodzili się tajemnie, albo chłosta krwawa,  
Przy której niczem będzie ta, którą znosiłeś,  
Wydrze ci słowa z piersi.

KAJUS MANLIUS.

To groźba, Cezarze,

Ale ję nie wykonasz.

DOMICYAN.

Kto śmie głos tu wznosić?

Wobec mnie?

MANLIUS.

Ja, senator. Przecież, Domicjanie,

Nie każesz męczyć dziecka?

DOMICYAN.

To nie twoja sprawa.

Jak śmiesz wobec Cezara głosić swoje zdanie?

Wdawać się w jego sądy?

MANLIUS.

Prawem senatora.

DOMICYAN.

Ha!... ha!... Toś ty senator! (*śmieje się; po chwili podejrzliwie*).

Chrześcijanin może?...

MANLIUS (*przerzywanym głosem*).

Niel... Ale patrycyuszów krew się we mnie wzburza!...

Gdy Manlius Rzym ocalał, gdzie *gens Flavia* \*) była?...

Wtedy zdrad nie uczono dziatek!... Przed senatem

Niemowląt nie stawiano, ani nikt nie pytał,

Co wolny obywatel robił w swoim domu!

(*Różne szmery. Domicjan na chwilę oniemiał z oburzenia*).

DOMICYAN.

Precz z nim! Brać go, liktory!... Będzie gnął w więzieniu,  
Zanim stanie przed ludem w bezprzykładnej mece,  
By zadrżeli zuchwali, co śmia sądzić pana.

MANLIUS (*otoczony liktorami*).

Motłoch cię panem czyni, motłoch niech cię słucha!

Lecz jeszcze krew swą czują starsze Romy syny!

GŁOSY Z TEUMU.

Precz z nim!

On lud obraża!

Obraził Cezara!

(*uprowadzają Manliusa*).

\*) Gens Flavia, do której należał Wespazjan, ojciec Domicjana, pochodziła z Sabinów i za Rzeczypospolitą liczyła się do plebejskich rodów.

DOMICYAN (*wskazując Marcyana*).

Tego szarpać kleszczami!

Widzisz, krew twa płynie.

(*po chwili*).

A bólu czy nie czujesz?

MARCYAN.

Czuje.

DOMICYAN.

Przerwać chwilę,

Powiedz, gdzie twój ojciec?

Milczysz?

Nie wiesz może,

Że Cezar umie łaski zlewać jak i kary?

Może cię zrobić wielkim, możnym i szczęśliwym.

Milczysz?

(*Długa chwila*).

Szarpać go znowu!

(*szarpia go*).

PRETOR (*do Domicyana*).

Panie! omdlewa,

Może skonać, nim powie potrzebne nam słowa.

(*Na skinienie Domicyana męczenie ustaje, trzeźwią Marcyana i przyprowadzają przed Domicyana*).

DOMICYAN.

Dzielne jesteś pachole, takich sług mi trzeba:

Takbyś kiedyś stał przy mnie, jak dziś przy rodzicu;

Szanuję wierność twoją, o nic już nie pytam,

Niech ojciec, bracia, żyją bezpiecznie w ukryciu.

(*do siebie*).

Znajdą ich moje szpiegi.

(*głośno*) Od ciebie chcę tylko

Byś porzucił obcego, żydowskiego Boga,

Byś przyjął wiarę Romy i złożył ofiarę;

Zaszczyty cię czekają, sam, do boku swego,

Ja, Cezar, wzniosę ciebie.

MARCYAN.

Odstąpić od Boga,

By oddać cześć posągom martwym!

JEDEN Z KAPEŁANÓW.

Dziecię,

Posągi przedstawiają nieśmiertelnych.

INNY (*cicho do Marcyana*).

W domu

Możesz czcić swego Boga, lecz tu nieś ofiarę;

Romie szkodzić nie może jedno bóstwo więcej,

Byleby jój obyczaj szanowano stary.

JEDEN Z LUDU.

Mój synku, ustąp proszę, umrzedź ci zawczasie,

Pamiętaj na swą matkę, co gdzieś płacze w domu.

MARCYAN.

Dzięki ci za życzliwość. Nigdy matka moja

Nie radziła odstępstwa swojemu synowi.

TEN SAM.

Ależ śmierć ciebie czeka!

MARCYAN.

Przyjmę ją ochotnie.

SETNIK.

Dzielne, dumne pachole!

KOBIETA Z LUDU.

To nie duma, panie,

To wiara!

SETNIK (*w zadumie*).

W słabem dziecku!...

DOMICYAN.

Widzisz, dobrzy ludzie

Żalują twój młodości, tak rzuconej marnie.

(*po chwili*).

Ale może ty myślisz, że ten!... ten tam Manlius,

Nie był jedynym tutaj! Może ty pomocy

Spodziewasz się?... obrony?...

MARCYAN.

Moja pomoc w niebie!

DOMICYAN.

Wiedz, że tu jedna wola panuje! Cezara!

Spytaj się tego ludu, co patrzy na ciebie!...

Może tam kilku kwili, żeś piękny i mały,

Ale spytaj się ludu... na pierwszą zabawę,

Czy mniejszy tłum się zejdzie, że dla lwów na strawę,

Ciebie rzuce, pachole!... Dalej, ludu Romy!

Okrzyk na cześć Cezara! Imię me jak gromy

Niech spada na to miasto!...

Otworzyć śpichlerze!

Jutro puścić w arenę najpiękniejsze zwierzę,

Lwa dziś przywiezionego i hirkańską lwicę.

Dzielnością senatora patrycyat zachwyce.

Manlius swoją odwagę w arenie ukaże.

(*po chwili do Marcyana*).

A ciebie na zakąskę bestyom rzucić każe.

Ludu!... chcecie igrzyska?... Ludu!... łakniesz chleba?...

TŁUM.

Żyj, boski Domicyanie!... ulubieńcze nieba!...

## MŁODA NAUCZYCIELKA.

### I.

— O, co za szczęście, co za szczęście! — wołała młoda panienka, wbiegając do pokoju, w którym siedziała starsza osoba, zajęta jakąś robotą — wszystkie marzenia moje spełnione, mateczko droga, mam już miejsce!

— Panienska, domawiając tych słów, rzuciła kapelusz na stolik, śpiesznie zdjęła rękawiczki, uklękła przy fotelu matki i obie w milczeniu ścisnąć się zaczęły.

— Opowiedz mi wszystko, Kasieńko moja — odezwała się wreszcie matka — co to za miejsce, gdzie, u kogo, czy daleko od Warszawy?

— Ach! ta kochana, nieoceniona pani przełożona — mówiła dalej panienka — ona to stała się prawdziwą moją Opatrznością; inne czasem lata całe noszą się z dyplomem nauczycielskim, nim dostaną miejsce, muszą lekcje dawać po dwa złote, aby z głodu nie zginąć, a ja od tygodnia dopiero ten błogosławiony dyplom mam w kieszeni i oto już jestem nauczycielką domową, pobieram dwa tysiące złotych rocznej pensyi, tyleż gratyfikacji po trzech latach. O! maceczko, jak mi powiedziała to wszystko pani przełożona, myślałam zrazu, że żartuje ze mnie, trudno uwierzyć w takie wielkie szczęście.

— Nie wątpię, że przełożona jest zacna i rozumna — ona ci pewnie dobrze radzi i życzy, ale radabym jednak raz usłyszeć, co to za miejsce; czy jedną panienkę uczyć będziesz?

— O, gdzieżtam jedną! Trzy uczennice dostanę odrazu, najstarsza ma już lat trzynaście, najmłodsza dziewięć. Trzeba będzie poważną minę przybrać, nauczycielka trzynastoletniej panienki, to nie żarty!

— Ach, moje dziecko, nie chcę ja ciebie zrażać, wolałabym jednak, żebyś na początek miała jedną, najwyżej dwie uczennice. Trzy panienki różnego wieku, to praca ogromna.

— Ależ ja właśnie pragnę pracować, maceczko — zawołała młoda dziewczyna z żywością — pocóż tyle starań dokładałam, aby zdobyć ten dyplom, dający prawo do pracy? Trzy panienki, toż wesołe z nich będzie towarzystwo. Ja zawsze tak ubolewałam nad tem, że nie mam młodszego rodzeństwa, że jedynaczką jestem; na raz dostanę trzy młodsze siostrzyczki. O, bo z pewnością pokochamy się od razu z temi dziewczętkami, ja nie będę dla nich srogą nauczycielką.

— Bylebyś tylko za słabą nie była — rzekła matka, składając pocałunek na jój czole — ty jesteś taka poczcziwa, łatwowierna, prędzej one ciebie zprześladują; dzieci bywają

rozmaite, biorąc na siebie ciężkie obowiązki nauczycielskie, przygotuj się na wszystko, Kochanko moja. Nie trzeba na świat patrzeć przez różowe szkiełka, żeby rozczarowania nie doznać.

— O, mamó, tu niema żadnej obawy, dzieci zacnej matki muszą być dobre i dobrze wychowane. Przełożona zna oddawna panią Korzycką, u której mi to miejsce wyrobiła. Jest to wdowa młoda jeszcze, niezmiernie kochająca te dzieci, sama oddana zajęciom gospodarskim, potrzebuje osoby, na którą mogłaby się spuścić zupełnie i powierzyć jej całkowicie córeczki. I wyobraź sobie, mateczko, ta nieoceniona pani przełożona zapewniła ją, że ja odpowiem takiemu zaufaniu. Doprawdy, nie wiem, czem ja zasłużyłam na tyle dobroci.

— Pani przełożona oddała ci sprawiedliwość, Kochanko, o to jestem spokojna, że ani ona, ani ta pani Korzycka, nie zawiedzie się na tobie. Ale ci szczerze powiem, że... sama nie wiem... tak jakoś troszkę się obawiam o ciebie; dużo roboty, odpowiedzialność ogromna, bo, jak z tego wszystkiego sądzić można, będziesz musiała i uczyć te dzieci, i czuwać nad nimi nieustannie. Dla takiej młodej, jak ty, dziewczyny, to ciężar ogromny. Zastanów się, Kasiuniu, nie jesteśmy znów w takiej nędzy, mamy procent od kapitaliku, ty znajdziesz parę lekcji na mieście, poczekałyśmy mogły, a możeby się trafiło miejsce do jednej panienki, do dwóch jednego wieku przynajmniej...

— O nie, nie, mateczko, nie lűdź ty mnie już teraz; wiem ja doskonale, że ten procent nie starczy nawet na najskromniejsze potrzeby i że musisz iść zarabiać, choć się z tem starannie ukrywasz. A ja tego nie chcę, dość napracowałam się dla mnie, abym ja mogła ukończyć nauki na najlepszej pensji, otrzymać ten dyplom upragniony; dziś na mnie kolęj, biorąc trzysta rubli pensji, mając całe utrzymanie, połowy nawet nie wydam na swoje potrzeby, będę więc mogła ci przysłać kilkadziesiąt rubli co kwartał. Nie potrzebując mnie karmić, będziesz znacznie mniej wydawała, mateczko, pokoik mój nawet wynajmiesz jakiej spokojnej osobie i zrobisz to dla mnie, nie odmówisz usilnej prośbie jedynaczki, zaprzestasz już tej ciężkiej pracy zarobkowej.

— Moje dziecko, ja tak mało pracuję; zycie rękawiczek, to zabawka raczej niż praca, nie lubię siedzieć z założonymi rękami. Twojej pensji z pewnością nie dotknę, chyba bym na zbytki jej użyła, ja sama niewiele potrzebować będę. Ty zaś, córeczko, musisz przecież ubrać się przyzwoicie, nauczycielka nie powinna się zaniedbywać ani odróżniać. Wiem, że do zbytownych strojów nie masz wcale upodobania, ale teraz wszystko drogie. Na wsi trzeba mieć parę letnich sukien na zmianę, samych trzewików zedrzesz nie mało, biegając za temi trzema trzpiotami po ogrodzie, po łąkach i lasach. Zresztą, ty nie rozumiesz, jak to w obcym domu: usługę niby to masz zapewnioną w umowie, ale sprobuj nie zapłacić osobno pracce, pokojówce, to niczego się od nich nie doprosisz. Trzysta rubli, to bardzo skromne wynagrodzenie, ledwo ci starczy na twoje własne, niezbędne potrzeby.

— Co też mama mówi! Jabym miała trzysta rubli wydawać na siebie!

— Jeżeli zaoszczędzisz cośkolwiek, a ja cię od tego odwożać nie myślę, to mi oddasz, składać to będę dla ciebie.

— Nie kocha mnie matusia — mówiła Kasia, tuląc się pieszczołliwie do matki — ja z taką rozkoszą marzyłam o tem, że moja praca przyczyni mamie choć troszkę wygód, odpoczynek zapewni, a mama pozbawia mię tego szczęścia, odrzuca moją pomoc.

— Dziecko moje drogie, pociecho ty moja — odrzekła matka, ściskając ją czule — dobrze więc, dobrze, sprawię sobie nowy szlafroczek na zimę, leciutki, na jedwabnej podszewce; jest to zbytek, ale skoro chcesz koniecznie, za twoje pieniądze sprawię. Czy zadowolona jesteś?

— Doskonale! — zawołała Kasia — niechże mama i na wierzch nie pożałuje, żeby był stosowny do jedwabnej podszewki. Jak przyjadę na Boże Narodzenie, bo wymówiłam

sobie, że i Boże Narodzenie, i Wielkanoc spędzać będę u mamy, chcę zastać już ten szlafroczek, niechże mamusia pamięta.

Długo jeszcze matka i córka rozmawiały o tym ważnym przedmiocie. W pierwszym uniesieniu radości Kasia zapomniała prawie, że obejmując upragnione miejsce nauczycielki, po raz pierwszy rozstać się będzie musiała z matką na czas dłuższy. Niejedno westchnienie wyrwało się z jej piersi, gdy się nad tem zastanowiła; ale odważna dziewczyna oddawna do tej konieczności była przygotowana, rozsądna i dobra matka, jakkolwiek bolała nad tem rozstaniem, nie chciała córki narażać na ciężki i niepewny zawód nauczycielki miejskiej, dającej lekcje na godziny. Znała niejedną z tych biednych istot, które dla kilku złotych muszą biegać na najdalsze ulice, gramolić się na trzecie piętro, nie zważając na mróz i słotę; wiedziała, że często zdrowie tracą, nim zdołają zapewnić sobie byt spokojniejszy. To też odrazu przygotowała Kasię do tego, aby starała się o posadę domowej nauczycielki na wsi, poprzestając nawet na mniejszej pensji, byle mieć tylko zapewnione wygody i tak korzystne dla zdrowia wiejskie powietrze, za które mieszkańcy Warszawy drogo płacić muszą, gdy na letnie miesiące z murów miejskich się wydostać pragną.

Pani Olszycka, matka Kasi, była także niegdyś właścicielką wioseczki w Siedleckiem, śmierć męża i okoliczności zmusiły ją do sprzedaży majątku, a kapitalik, pozostały z tego, na procencie umieszczony, bardzo skromny dawał dochód; musiała też biedna kobieta ręczną pracą zarabiać, aby na utrzymanie jej i córki starczyło. Kasia była bardzo zdolna, miała niepospolity talent do muzyki, postanowiła więc kształcić się na nauczycielkę, dotychczas bowiem najpewniejszy to zawsze sposób do życia dla kobiety cierpliwej i wytrwałej. Na szczęście i charakter młodej dziewczyny nadawał się do tego zawodu; była niezmiernie łagodna, miła i łatwa w pożyciu, nauczycielki i koleżanki lubiły ją wszystkie, ona także lgnęła do każdego sercem tkliwem i kochającym.

Jak widzimy, miejsce nauczycielki znalazło się łatwo, przełożona pensji miała liczne stosunki, a za pannę Katarzynę Olszycką ze spokojnem sumieniem zaręczyć mogła. Młoda dziewczyna była uszczęśliwiona, to miejsce było przecież jedynem celem jej marzeń, jej usiłowań, otrzymała je i o resztę była spokojna. W ciągu lat ostatnich na pensji już dawała korepetycje w niższych klasach, mogła być o rok wcześniej nauki ukończyć, lecz umyślnie pobyt na pensji przedłużyła, aby nabrać wprawy w uczeniu młodszych dzieci. Zajęcie to wcale jej nie nużyło, miała dar szczególny trafiania do pojęcia, a zarazem i do serca swoich uczennic, wszystkim ją kochały, jak starszą siostrę, ona też zawsze powtarzała, że nie mając młodszego rodzeństwa i ubolewając nad tem, do dzieci obcych tem łatwiej się przywiązuje. Jadąc na wieś, ani wątpiła, że i z tamtymi uczennicami będzie też samo.

Matka jednak, więcej mająca doświadczenia, mniej dowierająca światu i ludziom, niepokoiła się bardzo w duszy, chociaż starała się nie okazywać tego, gdy już raz postanowienie córki było nieodwołalnie powzięte. Bo też w rzeczy samej opieka nad trzema panienkami w tym wieku, było to zadanie nielada dla dziewczyny, która sama zaledwie ukończyła lat osmnaście. Umowa, przysłana przez p. Korzycką, napisana była dość ogólnikowo, dużo pozostawiono samej nauczycielce, ilość godzin nauki naprzykład od niej zależała, równie jak i sposób wykładu, byle każda z trzech panienek uczyła się stosownie do wieku i zdolności. Ztąd można było wnosić, że każda potrzebowała osobnego wykładu, a o mogło pochłonać i dzień cały. Oprócz tego zastrzegano, ażeby nauczycielka miała ciągle dzieci na oku i podczas godzin odpoczynku opiekowała się nimi tak samo, jak i przy lekcjach, gdyż matka, zajęta gospodarstwem, wyręczyć jej nie może. Od przełożonej dowiedziała się Kasia, że dotychczas była tam nauczycielka Francuzka, którą zmieniono głównie dla muzyki, a tej uczyć się miały wszystkie trzy panienki.

Przełożona sama przyznawała, że pensja była nadwyzczaj skromna za taką pracę, ale na obecne ciężkie czasy nie łatwo o większą, zresztą wynagradzała to niejako przyrzeczona po trzech latach gratyfikacja. Kasi trzysta rubli wydawały się sumą ogromną, matka jej o wiele mniej zarabiała, szyjąc pilnie rękawiczki przez rok cały. Gdyby

ny, duży i wygodny, wznosi się w głębi pięknego ogrodu, którego ozdobę największą stanowią ogromne, stare drzewa, krzewy, obsypane przez całe lato prawie kwiatami, oraz trawniki starannie utrzymane, gdzieś widać i grządki kwiatowe, niewiele jednak, bo to rzecz zbyt kosztowna na dzisiejsze ciężkie czasy. Za to ogród warzywny wraz z sadem



Pani Korzycka czytała głośno. (str. 326.)

nawet potrafiła w Warszawie lekcjami większy dochód sobie zapewnić, to przecież w mieście z grosza żyćby musiała, tam miała gotowe utrzymanie, i na wsi, a ona wieś niezmiernie lubiła, dotychczas zapomnieć nie mogła lat dziecinnych, na wsi spędzonych. To też, podczas gdy matka wzdychała po odjeździe, ona z dobrą myślą gotowała się do odjazdu.

## II.

Lipówka, wioska pani Korzyckiej, o parę wiorst tylko odległa jest od stacji kolei. Dwór nie magnacki, lecz mura-

znaczną zajmuje przestrzeń i widocznie ze szczególną troskliwością jest utrzymany.

W wewnętrznym urządzeniu domu nie widać także zbytku, sprzęty porządne, lecz skromne, w salonie przykryte pokrowcami z szarego płótna, w jadalnym pokoju krzesła wyplatane, stół i szafy jesionowe, w innych pokojach po większej części sofy i niskie foteliki lub taborety kryte futrą, kretonem, ceratą, stosownie do okoliczności i potrzeby.

W chwili, gdy czytelników naszych wprowadzamy do domu p. Korzyckiej, w jednym z tych pokojów pobocznych siedziała w kątku na krześle panienka około dwunastu

lat mieć mogąca, zaczytana w jakiejś książce. Była to Wańdzia, średnia córka p. Korzyckiej, cicha, spokojna dziewczynka, lubiąca bardzo czytanie i najczęściej siedząca samotnie w godzinach wolnych od nauki, tak, że ją trzeba było napędzać do ogrodu i na przechadzkę. W całym domu panowała cisza, wieczór się zbliżał, słońce zniżało się ku zachodowi, wszyscy też korzystali z przelicznej pogody i używali świeżego powietrza, jedna Wańdzia, zwyczajem swoim tak się zaczytała, że o Bożym świecie zapomniała. Wtem dały się słyszeć kroki w przyległym pokoju, Wańdzia podniosła oczy i ujrzała matkę wchodzącą z listem otwartym w rękę.

— Znowu siedzisz w pokoju, Wandeczko, w taką pogodę — odezwała się matka — piękne to bardzo, że lubisz czytać, pochwalam to upodobanie, lecz wszystko w miarę i w porę, moje dziecko. Zresztą, jeśli już nie możesz się rozstać z tą książką, zabierz ją z sobą i czytaj w ogrodzie.

— W ogrodzie komary tak okropnie dokuczają, mateczko — odrzekła Wańdzia — chodząc, nie czuje się tego tak okropnie, ale siedzieć z książką wieczorem niepodobna. Ja zaraz pójdę za chwileczkę, doczytam tylko parę stronnic, dowiem się, czy wszyscy koledzy zjedzą się w kościele S-go Krzyża; dwóch już pojechało, o innych ani słychu. Ach! to takie ciekawe ta powiastka „W imię koleżeństwa”.

— Mam tu jednak, o ile mi się zdaje, ciekawszą jeszcze dla ciebie wiadomość — mówiła matka z uśmiechem — otrzymałam właśnie list od pani X. przełożonej pensyi w Warszawie nowa nauczycielka przyjeżdża jutro południowym pociągiem.

— Jutro! — wykrzyknęła Wańdzia, a chociaż była w ogóle powolnego usposobienia, wiadomość ta widocznie wywarła na nią wielkie wrażenie i zaczęła wypytywać z żywością — cóż tam o niej pisze ta pani? Ja nawet nie wiem, jak ona się nazywa, czy stara, czy młoda, nic nam mama nie powiedziała...

— Bo nie było pewności, czy ta osoba przyjmie moje warunki, przyznam się, że sama o tem wątpiłam; aż tu na szczęście zgodziła się na wszystko odrazu, a ponieważ pani X. wie dobrze, jak mi jest pilno, niezwłocznie ją wyprawiła, jutro tu będzie. Oto najlepiej posłuchaj, co pisze pani X., powtórzysz to siostrze.

I pani Korzycka czytała głośno:

„Panna Katarzyna Olszycka z odznaczeniem ukończyła nauki i otrzymała dyplom nauczycielki wyższej. Oprócz wykształcenia ogólnego, posiada talent muzyczny niepospolity, gra ślicznie, śpiewa także i ma głos sopranowy, dobrze wyrobiony, może więc uczyć i śpiewu, oprócz gry na fortepianie. Po francuzku mówi, jak rodowita Francuzka, przez dwa ostatnie lata brała osobne lekcje muzyki i francuzkiego, niemiecki język zna także gruntownie i włada nim biegle; miała do wszystkiego zdolności niezwykłe i pracowała ogromnie. Przytem, co nie zawsze idzie w parze z rozumem i wykształceniem, ma charakter nieporównany; takiej dobroci, słodczy, nie napotkałam w żadnej z uczennic moich, a miałam ich niemało. Wszyscyśmy ją tu kochali na pensyi, jestem pewna, że wszędzie potrafi sobie pozyskać miłość powszechną. Prawdziwy to skarb dla domu, który ją posiadać będzie i szczęśliwa jestem, iż na żądanie pani, którą tak szanuję, mogłam jej się taką nauczycielką przysłużyć. Jeden zarzut tylko uczynić można pannie Olszyckiej: jest troszkę zamłoda na przewodniczkę trzynastoletniej panienki, sama bowiem skończyła niedawno lat osiemnaście. Ale ma dużo powagi, potrafi ją zachować w obec uczennic, a z nadto mam dobre wyobrażenie o córkach pani, abym sądziła, że potrzebują koniecznie surowej nauczycielki. Tego jednego moja Kasia nie potrafi, ona już zawczasu gotuje się pokochać je, jak młodsze siostrzyczki.”

— Dalej już szczygóły pieniężne — rzekła pani Korzycka, składając list — zdaje mi się, że to naprawdę skarb będzie prawdziwy, ta panna Katarzyna. Byle tylko nie była zanadto dobra — dodała, pokręcając głowę — ty, moja Wandeczko, szczerze ci to powiedzieć mogę, najmniej po-

trzebujesz surowości; ale z Misią a zwłaszcza z Rózią przydałoby się czasem postępowanie, jeżeli nie surowe, to przynajmniej energiczne. Zadługo trzymałam tę pannę Duval, a teraz ze smutkiem spostrzegam, że Rózia ma głowę trochę przewróconą; no, bo Misia jeszcze dziecko...

— Rózi żal bardzo panny Duval, wszystkim nam żal jej bardzo, mateczko, bo taka była dobra, taka zabawna...

— Zabawna! to szczególna zaleta dla nauczycielki. Nie mam zresztą za złe żadnej z was, żeście się do niej przywiązały i że wam rozstanie z nią było przykre; ale Rózia posunęła to za daleko, a co gorsza i Misię zbuntowała, zamiast dawać dobry przykład siostrze.

(d. c. n.)

## GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚRODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

— Idźże tenaz powoli, stawiaj równe kroki, a za każdym spuść jedno ziarno rożańca. Dobrze licz, uważnie, póki nie naliczysz trzydzieści. Już naliczyłeś, doskonale. A teraz, szejku, podnieś matę, przykrywającą podłogę meczetu. Jeżeli się nie mylę, powinienys zobaczyć na płycie kamienną pod tą matą wizerunek ryby.

— To będzie „aju”, nieprawdaż? — spytał szejk.

— Zapewne; wszak wy tak nazywacie gatunek manata, który żyje w Nigrze i był niegdyś czczony przez ludność tutejszą pogańską, nim się rozpowszechniła religia Proroka. Obecny tu doktor mógłby ci wytłumaczyć, że manat nie jest właściwie rybą, chociaż ma postać podobną do ryb; przyrodnicy zaliczają go, tak samo jak wieloryba, do zwierząt ssących, do rzędu walenii, a gatunek afrykański nosi nazwę *manatus vogelii* nadał mu ją uczony Niemiec Vogel. Ale nie mamy czasu w tej chwili na rozprawę naukowe, mów, drogi szejku, co tam widzisz pod matą.

Szejk jednak nic nie odpowiadał, padł na twarz i po-grażony był w cichem zachwyceniu. Zbliżyliśmy się obaj z Francuzem i ujrzelśmy na płycie, której pobożny muzulmanin dotykał czołem, rysunek ogromnego manata i „aju”. Pierwsza część wyjaśnienia timbuktukoja okazała się trafna, czekałem z niecierpliwością, łatwą do zrozumienia, co z tego dalej będzie. Tymczasem szejk El Bakai powstał, chwycił rękę Francuza i z czcią najwyższą ucałował.

— Francis bono! Francis bono! — wołał przytem w niebogłosy.

— Nie traćmy czasu — rzekł p. Lemercier — w dalszym ciągu opisu czytamy, że należy „przebić oko rybie”. Weźmyż się do tego niezwłocznie. Niech tu przyjdzie wielki kowal ze swemi narzędziami, ale przywołajcie także Barbusę.

Rozkazy te w mgnieniu oka zostały spełnione. Wielki kowal przyłożył ostrze żelazne do koralowego oka manata, zaczął w nie silnie uderzać młotem, oko poczęło się osuwać coraz głębiej, wreszcie wpadło w próżnię. Timbuktukoj przykląkł, spojrzął w ten otwór i powstawszy zawołał gromkim głosem:

— Odjąć trzeba tę płytę!

Wielki kowal zaczępił hakiem o brzeg płyty, ciągnął z całej siły, potem klinem próbował ją podważyć, lecz nadaremnie wszelkich usiłowań dokładał, płyta nie dawała się z miejsca poruszyć, jakgdyby jedną sztukę stanowiła z resztą kamienną podłogi. Dostojnik miasta Timbaktu zasapał i spościł, machał rękami, jak szalony, a nic dokazać nie mógł. A wtem na znak Francuza zbliżył się Barbusza, chwycił żelazny drag w rękę, wpakował go w rozwarte oko manata, pokręcił, podważył i po chwili wyrwał ciężką płytę kamienną tak zgrabnie, jak dentysta wrywa zęb bolący ze szczęki.

— Francis bono! — wykrzyknął znowu szejk radośnie — Barbusza ma siłę lwa, a pan jego jest natchniony przez Allacha mądrością taką, jak słynny mędrzec Sliman, syn Dauda!

— Szkoda czasu na komplementa, mój szejku, lepiej rozporządź się natychmiast, żeby nam tu dali światła; świece, pochodnie, latarnie, wszystko, co się znajdzie pod ręką. A może lepiej zachować ostrożność. Tak, tak, niechaj Barbusza przyniesie tylko moją latarnię, to najzupełniej wystarczy.

Ciemność panowała w głębi podziemia, które się ukazało pod wyjętą płytą, można było jednak dojrzeć schodków, prowadzących w głąb. Jak tylko Barbusza przyniósł latarnię, a sprawił się bardzo prędko, p. Lemercier pierwszy spuścił się po tych schodkach do podziemnego lochu, wszyscy pośpieszyli się za nim. Po chwili uczuliśmy grunt pod nogami i ujrzelśmy się w rozległej, okrągłej piwnicy, starannie dokoła obmurowanej. Przy ścianach stały szeregami armaty, lufy ich, do środka zwrócone, dziwny przedstawiały widok, jakby osobliwszej jakiej ozdoby architektonicznej.

Taka była tajemnica rękopisu Achmeta Baby; opowiadał on w swęj księdze, że sułtan Sonni Ali otrzymał w darze od króla Portugalii, Jana II-go, piękne armaty, których użył do zdobycia miasta Timbaktu w r. 1469. Monarcha ten następnie, ponieważ mu były niepotrzebne, złożył armaty w bezpiecznej kryjówce, którą Achmet Baba po swojemu, ze wschodnią tajemniczością i przesadą opisał. Na lufach był odbity napis „Lizbona r. 1465”.

— Oto dopiero odkrycie, skarb prawdziwy! — wołał timbuktukoj zachwycony — chociaż nie spadły z nieba, uważam jednak te armaty za prawdziwy dar Opatrzności. Cóż ty na to, doktorze, który wyśmiewałeś moją ufność?

— Ja, nic...

— Oho, ja wiem, gotów jesteś utrzymywać, że to dar króla Portugalii?

— No, bo w rzeczy samej...

— Zgoda i na to, chociaż zawsze zastrzedz muszę, iż król Jan był tylko narzędziem Opatrzności. W każdym razie dar przyszedł w porę i teraz gotów jestem rozprawić się, jak należy, nie tylko z Auelimidenami, ale i z przywódcami ich, panami Anglikami.

## XX.

### Ofiara wujaszka Baka.

Wielka była radość panny Katarzyny, gdy dowiedziała się o tem szczególnem odkryciu. Dziwna zmiana zaszła w naszej zimnej i milczącej panience, odkiedy w tak niespodziewany sposób odszukała krewnych. Już teraz nie marzyła o niebezpiecznych podróżach i nadzwyczajnych przygodach, lecz pragnęła powrócić jaknajprędzej do Europy, oddać majątek prawym właścicielom, mówiła o tem ciągle z takimżywieniem, jakiego dawniej nigdy nie okazywała. P. Katarzyna przekonana była, że armaty portugalskie uwolnią ją bardzo prędko z więzienia, tak bowiem nazywała ten raz pobyt swój w Timbaktu, że niezwłocznie będzie mogła puścić się w drogę w towarzystwie bratanków. Nagliła p. Sudulę, aby pakowała rzeczy, a gdy ja powstrzymywałem ten zapał, twierdząc, że armaty nie stanowią jeszcze zwycięstwa, ona tylko ramionami wzruszyła i odpowiadała z uśmiechem:

— Zapominasz pan, że te armaty są w ręku tak znakomitego wodza jak p. Lemercier. Już on nas oswobodzi, to nie ulega wątpliwości.

— I jemu powtórzyła toż samo.

— Nieprawdaż, panie kapitanie — mówiła — że pobyt mój w tem mieście nie potrwa już długo? Pan nam otworzysz bramy; czyż podobna przypuszczać nawet, aby taki wojownik, jak pan, nie pokonał garstki dzikich ludzi?

— Dziękuję pani bardzo za dobre wyobrażenie o mnie — odpowiedział p. Lemercier — uczynię co będzie w mojej

mocy, lecz nie jestem jeszcze zupełnie pewny zwycięstwa; dzicy ludzie, o których pani tak pogardliwie się wyraża, najpierw daleko liczniejsi są od mojego wojska, a potem nie brak im także dowódców Europejczyków.

— A te armaty? To przecież pomoc niemała, a i odkrycie tak niespodziewane jest dowodem oczywistym, że Opatrzność opiekuje się nami.

— Tak, tak — odrzekł Francuz, spoglądając na mnie z pod oka — ja także ufam Opatrzności, dotychczas mnie nie zawiodła, zapewne więc i dalej wszystko pomyślnie pójdzie.

— A widzi pan! — zawołała z tryumfem p. Katarzyna — nie może być inaczej i trzeba, żeby ciocia brała się do pakowania rzeczy.

Tymczasem byliśmy ciągle obleżeni, nieprzyjacieli ani myślał odstępować, zaczynał nawet ostrzeliwać mury miasta, bo Auelimidenowie, jak już wspominaliśmy, mieli także artylerię, nędzną wprawdzie, z kilku zaledwie dział złożoną, lecz groźną dla mieszkańców Timbaktu, zwłaszcza, póki się nie znalazły armaty króla portugalskiego. W tem samem podziemiu złożone były także znaczne zapasy kul rozmaitej wielkości, granatów, pocisków kamiennych, a nawet i beczulki pełne prochu. Na nieszczęście ten na nic przydać się nie mógł, bo zamokł w lochu wilgotnym.

Ale na to nasz wielkorządca poradził z łatwością, prosto urządził na przedce fabrykę prochu. Siarki i saletry nie brakło w Timbaktu, kupcy, przybyli na jarmark z Rdames, nawieźli mnóstwo tych substancji, które tam są przedmiotem znacznego handlu. Trudniej było o węgiel, gdyż do prochu potrzeba węgla szczególnego, drzewnego, i to koniecznie z lekkiego drewna. Po raz pierwszy wiedza botaniczna wujaszka Baka przydała się na coś, gdyżśmy zasięgnęli jego rady, wskazał gaj oleandrowy w stronie południowej miasta, upewnijając, że te drzewka dadzą węgiel wyborowy do tego użytku. Wycięto natychmiast najpiękniejsze oleandry i fabryka zaczęła działać energicznie. Pracowały w niej wyłącznie kobiety pod nadzorem wielkiej kowalowej, „malemy”.

Małżonek jej miał także niemało roboty, najpierw przyrządzał pociski żelazne, gdyż p. Lemercier nie spuszczał się na zapasy gotowe, w podziemiu znalezione, później zaś wielki kowal musiał się zająć przygotowaniem naboju. Probowano robić do tego woreczki z różnych tkanin, lecz chociaż dobierano najgęstszych, zawsze drobny pył prochu przeciskał się przez nie i obsypywał ze strony zewnętrznej, co być nie powinno. Daleko stosowniejszym do tego materiałem jest papier, na nieszczęście sklepy miasta Timbaktu, obfitujące w najrozmaitsze towary, nie mogły dostarczyć papieru ani na lekarstwo.

Pocciwy szejk El Bakai ofiarował na ten cel bibliotekę zawi, lecz p. Lemercier odpowiedział, że Europejczyk nie może popełniać podobnego barbarzyństwa. Niszczycie te zabijki, pomiędzy którymi znajdowały się skarby prawdziwe, byłoby niedarowanym wandalizmem, a przytem i czarną niewdzięcznością, czyliż bowiem nie w tój bibliotece mieścił się nieoszacowany rękopis Achmeta Baby? Obaj z kapitanem łamaliśmy sobie głowy nad tem, zkądby tu dostać papieru, chociażby jedną ryżę, chociażby kilka liber.

Najniespodzianie przysła nam w pomoc p. Katarzyna. Dowiedziawszy się, że wszystko jest już w pogotowiu do rozpoczęcia walki, tylko braknie papieru, energiczna panienka udała się do wujaszka Baka. Siedział on w ogrodzie zawi, rozkładał i przesuszał na słońcu niektóre rośliny niedawno zerwane, zkąd miał do tego papier, to już było jego tajemnicą.

— Dzień dobry wujaszku, jakże się spało? — zaczęła p. Katarzyna, jakgdyby tu przysła bez żadnego interesu, jedynie na rozmowę — pewnie wujaszek radby już także ztąd się wy dostać i wracać do domu.

— Do domu? A czy to myślisz już wracać do domu? Zdawało mi się, że miałas inne zamiary.

— Tak, ale je zmieniłam. Widzi wujaszek, ten biedny Henryk tęskni do ojczyzny, wcale nie ma zamiarowania do

tego awanturniczego życia, jak brat jego Edgar. Tamten nawet bardzo być może, iż nie pojedzie z nami, zostanie w Afryce ze swoimi Fulanami. Odstępuje Henrykowi swoją część spadku, chociaż tamten przyjąć tego nie chce i powiada, że zmieni wszystko, co do grosza, na dukaty hiszpańskie i odeśle mu do Timbaktu. Ale Henryka przynajmniej zabiorę z sobą. Ach! jak on pragnie zamieszkać w zaciszu wiejskim, zajmować się rolnictwem, ogrodem. Nie mogę sobie darować, że ja przez tyle lat korzystałem z cudzej własności...

(d. c. n.)

## BŁĘDY JĘZYKA.

Nieraz już czytelnicy naszego Pisma dziękowali nam za to, że zwracamy ich uwagę na błędy mowy i pisowni, których trudno się ustrzedz, gdyż w druku nawet są bardzo rozpowszechnione. Tymczasem obowiązkiem każdego jest wystrzegać się o ile możności najdrobniejszych błędów, wszelkich wyrażań wątpliwych, niepewnych, lepsza pod tym względem zbyteczna ostrożność, aniżeli lekceważenie.

Od pewnego czasu zaczynają używać często, zwłaszcza w dziennikach codziennych, wyrażenia *paru*, np. od *paru* dni, przed *paru* laty, jeden z naszych korespondentów pisał w jakimś opowiadaniu: „*paru* kolegów mi mówiło”. Kolegów tych było albo dwóch, albo trzech, czterech, a więc kilku, pocóż mówić *paru*? Czasem zapewne dogodnie jest dać takie niewyraźne określenie, ale można zawsze innego użyć sposobu, bez kaleczenia mowy. Czemuż nie powiedzieć: parę lat temu, parę dni temu, a już co kolegów i innych osób, to naprawdę wcale nie wypada obliczać na pary. W żadnej gramatyce nie znajdziemy podobnego zastosowania tego wyrazu „*paru*” i wszyscy wzorowi pisarze współcześni tę nowość potępiają. Szczerze też radzimy czytelnikom naszym wystrzegać się tych „*paru*” w mowie i piśmie, chociaż na nieszczęście w druku często je napotkają.

Źle jest także i niepoprawnie mówić lub pisać *każden*, *któren*, bo mamy na to w gramatyce uprawnione wyrazy *każdy*, *który*, a te najzupełniej są wystarczające. Może kto sobie wyobraża, że jeżeli się mówi *żaden*, to i *każden* będzie dobrze. Ale to właśnie dowód, iż wyrazów przekręcać nie należy, bo nikt nie powie: *żadny* człowiek, tylko *żaden* człowiek. Zupełnie takąż samą myłką jest wyrażenie *każden* człowiek, ten człowiek, *któren* i t. d. Na dziś dosyć, odczytajcie uważnie, czytelnicy, i unikajcie tych błędów starannie.

## ZAGADKA GŁOSKOWA.

(Od Jedynaczki dla Gołąbki pocztowej).

Za zagadkę ci szczerze, Gołąbko, dziękuję,  
A choć dobrej wymyślić zdolną się nie czuję,  
W zamian jednak posyłam ci zagadkę małą,  
Oby ci się ją tylko zgadywać zechciało.

Jestem ja w Litwie, i na pierwszym planie,  
Ma też mnie dziecko, gdy lalkę dostanie;  
Jestem i w Polsce, Prusy mię nie znają,  
W polu też jestem, i tam, gdzie kąkole,  
Nie ma mnie chatka, chociaż jestem w siole

Bezemnie lasby nie istniał na świecie,  
Więc żem konieczna, wszyscy to pojmiecie.  
Lato bezemnie też nie ma początku,  
Jednak się w żadnym nie mieszczę zakątku.  
W koralach zawsze, w brylantach mnie macie,  
I w książce także, gdy ją otwieracie.  
W lutni ja jestem, w gęśli, lecz w gitarze  
Już się obecność moja nie okaże.  
Więc czem ja jestem, zgadnij, bardzo proszę,  
Wiedz, że u ciebie kresczkę ja noszę.

## Łamigłówka anagramowa (W.)

Kalisz — raki — ranek — wina — arka — cygani — leki — trawa — sanki — race — kozioł. — Wyszukać anagramy tych wyrazów, to jest inne wyrazy złożone z tych samych liter, przedstawionych tylko w innym porządku. Pierwsze litery tych anagramów powinny utworzyć nazwisko znakomitego pisarza współczesnego.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 39 go.

### Homonimów:

Kocz, powóz i Piotr Kocz przewoźnik, sławny z tego, że uratował wielu tonących.

### Krzyża z podstawą:

			L		
			S	E	N
		K	A	N	I
S	U	M	A	T	R
		K	A	R	O
			S	T	O
			K	O	Ń
			E	W	A
			O	L	I
		G	R	A	C
			Y	A	N
		K	A	M	C
			Z	A	T
				K	A

## REBUS.



**TRESC:** Doświadczenie fizyczne (z drzew.) Forum za Cezarów, obrazek z dziejów rzymskich p. Maryą Leoną. — Młoda nauczycielka (z drzew.). — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowej (c. d.). — Łamigłówki, rozwiązania. **Dodatek:** Zawa na limanie (z drzew.). — Paw, bajka p. Gabryelę Jasięńską. — Złamany grzebień p. Kazimierę. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Branka litewska, opowiadanie z dawnych czasów, p. Michalinę Zielińską.



## ZABAWA NA LIMANIE.

Micio i Helenka są to dzieci dobre i posłuszne, mama wszędzie je może zabierać z sobą, bo jest pewna, że ani jój, ani nikomu nie dokuczają. W tym roku doktor kazał mamie pojechać na kąpiele limanowe do Odessy. Odesa jest to miasto portowe nad morzem Czarnym, a „limanem” nazywają miejsce, gdzie rzeka Dniestr wpada do morza, rozlewając się szeroko, i tym sposobem

ażebym razem z mamką pilnowała malutkiego Muniu, który jest jeszcze przy piersi, więc trudno od niego wymagać rozsądku.

O, jakże się dzieci ucieszyły, gdy poszły z mamą do portu, i obaczyły morze, a na morzu okręta ogromne, z żaglami, z kominami, buchającymi dymem i parą. One dotąd widziały tylko staw i niedużą rzeczkę we wsi, gdzie mieszkały, o morzu, o okrętach, wiedziały tylko z opisów podróży, które w książeczkach czytały. Helenka zaraz zawołała, że okręty prawdziwe zupełnie tak wyglą-



Zabawa na limanie.

tworząc coś nakształt rozległego bagna. Kąpiele w tej bagnistej wodzie są lekarstwem skutecznym na różne choroby i dlatego to mama Micia i Helenki, cierpiąca trochę, wyjechała na parę miesięcy do Odessy, ażeby się w limanie kąpać.

Wielka to była radość dla dzieci, gdy mama powiedziała, że i one także pojedą. Inne panie odradzały mamie, mówiły, że dzieci podczas kuracji będą jój przeszkadzały, ale mama uśmiechnęła się na to, bo znała dobrze swoje dzieci. Z innymi zapewne byłoby kłopotu niemało w takim razie, ale Micio i Helenka, tak w domu jak i za domem, zawsze byli grzeczni i rozsądni. Mama była więc o to zupełnie spokojna i bony nawet nie potrzebowała zabierać z sobą, wołała ją zostawić w domu,

dają, jak na obrazkach, że poznałyby je odrazu, choćby mama i nie powiedziała: „Patrz, oto okręty”.

Miciowi znów bardzo się podobał widok morza, na okręty prawie nie patrzył, tylko szeroko rozwarte oczy wlepił w dal, gdzie niebo zdaje się łączyć z wodą. Mama mu powiedziała, że to się nazywa linia widnokreśgu; gdy okręt odpłynie od brzegu i znajduje się na pełnym morzu, wówczas naokoło nic nie widać, tylko niebo i wodę, a wszędzie tak samo sklepienie niebieskie zdaje się stykać z powierzchnią morza. Ludzie jednakże wiedzą, że to się tak tylko wydaje, bo niebo nigdzie się nie pochyla do ziemi.

Micio i sam o tem wiedział, pamiętał, jak kiedyś, będąc malutkim, obaczył księżyc na niebie tak niziutko,

tak niziutko, zupełnie jakby dotykał wzgóрка. Mama poszła z nim aż na ten wzgórek, bo wieczór był ciepły i pogodny, Micio spodziewał się, że dotknie tam rączką tej jasnej, błyszczącej tarczy księżycy, ale inaczey się stało. Księżyc uciekł tymczasem i gdy weszli na szczyt pagórka, ujrzeli go znów niziutko, tuż nad ziemią, ale bardzo daleko. Mama uśmieła się z Micia i powiedziała, że mogliby całą ziemię obejść dokoła, goniąc za księżycem, i nigdyby go nie dogonili.

Micio i Helenka ciągle byli przy mamie, nie dokuwali jej jednak wcale i nie żałowała, że ich zabrała z sobą. Gdy mama szła do kąpieli, dzieci zostawały same w pobliżu, na brzegu limanu, służąca kąpielowa patrzyła na nie dla bezpieczeństwa, ale wkrótce przyznała i ona, że takich rozsądnych dzieci niema potrzeby pilnować. Oboje byli tak posłuszni, że byle tylko mama powiedziała:

— Pamiętajcie nie odchodzić ztąd, póki ja nie wrócę — bawiły się grzecznie i spokojnie na jednym miejscu, choćby godzinę całą i nigdy żadne nie mówiło, jako inne dzieci nierozsądne i naprzykrzone umieją:

— Ja się tu nudzę, to tak nudno siedzieć i czekać, ja chcę pobiegać troszkę.

Jakżeż mama za to kochała te pocziwe swoje dzieci; w każdym liście do tatki, do cioci, do babuni, pisała o nich, że są prawdziwą jej pociechą, że najmniejszego kłopotu z nimi nie ma. Pozwalała też im mama nieraz za to, że takie były grzeczne, urządzać wyborną zabawę, którą na rysunku widzicie. Micio i Helenka zdejmowali trzewiczki i pończoszki, biegali na bosaka w ciepłym błotku, bo to jest bardzo zdrowo. W miejscach zaś głębszych troszkę, gdzie więcej wody się zebrało, a jednak nie było żadnego niebezpieczeństwa utonięcia, puszczali małe czółenka, zrobione z orzecha włoskiego. Patrzenie na obrazek, jak to ślicznie wygląda: w czółenku siedzi sobie panna Klorynda, laleczka Helenki i pan Bonawentura, przepyszny arlekin Micia.

Helenka powtarza ciągle swojej laleczce, żeby grzecznie, spokojnie siedziała, bo jak wypadnie z łódki, to sukienkę zniszczy zupełnie w błocie. Micio znów przypomina panu Bonawenturze, ażeby pilnował towarzyszy, mężczyźni zawsze powinni się opiekować paniami. A oboje tak ostrożnie łódeczką kierowali, że ani razu się nie przewróciła, suknia panny Kloryndy nie poplamiała się w błocie, wspaniały uhiór pana Bonawentury także się nie popsuł.

Dnia pewnego mama sprawiła dzieciom wielką niespodziankę. Najęła dużą, piękną łódź z przewoźnikiem i popłynęła z dziećmi po morzu tak daleko, że miasto wydawało się jakby malutkie domki z kart, poustawiane na brzegu i okręty także. Potem zbliżyli się do okrętu, powracając z tej morskiej wycieczki, wysiedli na pokład, kapitan okrętu przyjął ich grzecznie bardzo i pozwolił wszystko obejrzeć. Micio i Helenka obaczyli na własne oczy kajuty, małe pokoiczki, w których podróżni nocują, łózka wiszące, czyli hamaki i wiele innych rzeczy ciekawych, znanych im z opisów podróży.

Okręt ten powrócił był niedawno z Chin i Japonii, kapitan pokazywał im mnóstwo dziwnych rzeczy, przywiezionych ztamąd, a jeden z majtków miał na sprzedaż

rozmaite drobiazgi chińskie. Mama kupiła dzieciom ładne pudeleczka, obrazki zabawne niezmiernie, z malowanymi ptaszkami, kwiatkami, wielka to była uciecha, ciągle potem powtarzali, powróciwszy do domu, że to naprawdę przyjechało aż z Chin, z drugiej części świata. Oboje wiedzieli już o tem oddawna, że Chiny są w Azji i Japonia także.

Teraz już Micio i Helenka powrócili na wieś, do domu i wszystkim opowiadają o Odesie, o morzu, okrętach i o rozmaitych osobliwościach widzianych w tem mieście. A byłaby ich mama pewnie nie zabrała z sobą, gdyby nie wiedziała, że dzieci są rozsądne, posłuszne i kłopotu jej żadnego nie sprawią.

*Ciocia Jania.*

## P A W.

BAJKA.

Na folwarczne podwórze sprowadzono pawia; Wnet obsiadły go w koło zdziwione kogutki, Przyleciał indor stary, kury i kacząta, Nawet Bryś podwórzowy wylał ze swęj budki. Obstąpiono go w koło, rozmowa wnet wszczęta, Każdy się przybyszowi dziwi i rozprawia.

Bo odkąd ten świat światem, odkąd Burkiem Burek,

Wśród pilnie strzeżonego stada kaczek, kurek,

Takiego nigdy jeszcze nie widziano dziwa:

Ogon stubarwnym mieni się kolorem,

Błyszcy w słońca promieniu, aż oczy olśniewa!

A z jakim się paw górnym nosi majestatem,

Jak żeby folwarcznemu ptactwu nie był bratem,

Lecz panem! i to jeszcze świetnych koligacyj,

Tak się puszy, nadyma i wyciąga główkę.

Naradza się więc ptactwo cicho i nieśmiało:

Wszak tak wielkiemu panu zrobiłby się zdało

Jakieś godne przyjęcie, wystosować mówkę;

Jakżeż gościa tak witać bez żadnej owacyi!

A więc z pomiędzy drobiu wybrano koguta,

Na całą okolicę znanego krzykacza.

Ten nie traci rezonu, znana jego buta!

Naprzód się śmiało wytacza,

I rzecze: — O ty, który olśniewasz nas wdzięków twych

[blaskiem,

Witamy ciebie zgodnym podziwem, oklaskiem.

Błagam cię w imię wszystkich, racz z nami pozostać!

Wszak tak, jak cudnie barwna okrywa cię postać,

Pewnie zarówno wdzięczny organ twego głosu,

Nie gardź więc, pawiu, nami, lecz z wyroków losu

Bądź nam królem i panem! Władzę twoją wnoszę,

Tylko przedtem słów kilka przemów do nas proszę!

Paw na to, rozłożywszy ogon w śmiesznej dumie,

Chcąc się zaraz pochwalić, jak to śpiewać umie,

Na cały głos zakrzyczał! popłoch straszny powstał.

Ptactwo gdacząc odbiegło, jeden kogut został,

On, co pawia na takie skazał pośmiewisko!

Zbliżył się więc złośliwie i, skłoniwszy nisko,

Rzekł: — Zarozumiałcom tak zazwyczaj bywa;

Nie każdy, kto ma ładne piórka, dźwięcznie śpiewa.

*Gabryela Jasińska.*

## ZŁAMANY GRZEBIEŃ,

przez Kazimierę.

— A niechże Stasia siedzi spokojnie, toż mi grzebień ciągle z rąk wypada — mówiła Karolina do małej dziewczynki, siedzącej na krzeselku i kręcącej się jak na sprężynach. — Doprawdy, Stasię czesać, to starczy za największą pokutę.

— A Karolina niech będzie cicho — rzekła dziewczynka opryskliwie — Karolinie nic do tego, jak ja siedzę.

— Toż prawda, nic mi do tego, jak Stasi nie czeszę, ale stać godzinę z grzebieniem przy Stasi włosach, nie mogąc ich ani wycesać, ani zapleść, to strasznie przykro. Wolałabym przez ten czas..

— Coby Karolina wolała? — zapytała zaperzona Stasia — co? proszę powiedzieć.

— Jeżeli Stasia prosi, żeby powiedzieć, to powiem, — rzekła służąca z uśmiechem, że udało jej się utrzymać panienkę w spokojnej postawie — wolałabym przez ten czas paść gąski.

— Co! — wykrzyknęła Stasia, zrywając się z krzeselka, a szarpnąwszy się, wyrzuciła grzebień z rąk Karoliny; ten wypadł na podłogę i przełamał się na dwoje — co! to Karolina powiada, że ja gorsza od gęsi.

— Tego nie powiedziałam, bo gąski są wcale dobre stworzonka — rzekła Karolina, podnosząc kawałki grzebienia — nie widziałam nigdy, żeby kiedy takie hece wyprawiały, jak Stasia, gąski są na to za mądre.

— Niech Karolina raz już będzie cicho! — krzyknęła Stasia, tupiąc nóżką, jak to często lubią robić kozy, a nigdy grzeczne dziewczynki — co Karolinie do mnie?

— No, no, dobrze, ale co to mama powie na złamany grzebień — rzekła Karolina — już dla Stasi różnego gatunku były kupowane, ale dobrych, to się nie opłaci, bo każdy w tydzień połamany.

— To przecież Karolina złamała — zawołała Stasia blizka płaczu — to nie ja.

Wtem do pokoju weszła ośmioletnia Dorcia, starsza siostrzyczka Stasi, a za nią wbiegł chłopczyk w mundurku gimnazysty.

— Cóż to, panna Stanisława jeszcze nie ubrana i nieuczesa — zawołał chłopczyk wesolo — a to pięknie, dziewiąta godzina dochodzi.

— To dobrze — mruknęła Stasia.

— Właśnie, że nie dobrze — rzekła Dorcia — panna Adela już do lekcji woła.

— Co mi tam lekcya — mówiła Stasia z dąsem — jeszcze śniadania nie jadłam.

— A myśmy tu już zdążyły grzebień złamać — rzekła Karolina, pokazując Dorci kawałki.

— Co, ten nowy? — zapytała Dorcia zdziwiona.

— Taki był niemocny — szepnęła Stasia — a zresztą przecież ja się sama nie czeszę.

— Ale zawsze sama się do tego przyczynisz — odrzekła Dorcia.

Tymczasem chłopczyk oglądał kawałek grzebienia, który wziął z rąk Karoliny, i rzekł:

— To jest grzebień z kości słoniowej, nie wiem, jak on się mógł połamać, wprawdzie jest bardzo cienki, ale zawsze kościany.

— Jak się Stasia prędko zerwała z krzeselka, tak wytrąciła mi grzebień do góry, potem upadł z wysoka i z impetem i pękł — objaśniła Karolina.

— Ale to wszystko mniejszą — rzekła Dorcia — mama się pyta, dlaczego Stasi niema jeszcze przy śniadaniu, i znów jak codzień dla mamusi będzie zmartwienie, a dla Stasi bura.

— Oj, że zmartwienie, to zmartwienie — rzekła Karolina, dobywając z szufladki innego grzebienia — ja to już chyba nie wytrzymam i służbę porzucę, choć tu wszystkim sługom dobrze, jak w niebie. Ale ze Stasią nie wytrzymam. Jak przyjdzie rano, to Boże zmiłuj się, co za męka. Z łódeczka wyjść nie chce, marudzi, grymasi, przy myciu, to nieraz i śmiech i złość człowieka bierze, a już co z czesaniem, to najgorsze utrapienie. Dziś zaraz podziękuję pani za służbę.

Wszystkie dzieci spojrzały pytająco na Karolinę, lubiły ją bowiem bardzo, była już u nich tak długo, że nawet nie pamiętały, kiedy przybyła, zasmuciły się więc serdecznie myślą, żeby je miała opuścić.

(d. n.)

### ZADANIE KONIKOWE (Puf).

kon	Hu	sza
du	*	żur
sza	béz	łaj

### ROZWIĄZANIE DO N-ru 39-go.

#### Łamigłówki zgłoskowej:

Kwaśna Florcia.

### Skrzynka do listów.

Krakowianka z nad Nidy nadesłała trafne rozwiązanie zadania.

Wiosnuszcze zazdrościmy tej pogody i ciepłego lata, bo my tu ziębliśmy i mokli nieustannie, a burze straszne i grady zniszczenie siały wszędzie.

Małej Laszce donosimy, że roboty na konkurs będą sądzone stosownie do wieku nadsyłających, bo tak każe sprawiedliwość. Robota bardzo dobra dla 7 letniej panienki, byłaby mierną dla 14 letniej.

Świąteczko tak ładnie prosi, że i odmówić trudno. Musimy to jednak odłożyć na później, bo zapas się wyczerpał, za dużo było żądań.

Zawisza Czarny bardzo zajmujący liścik napisał i Gołąbka pocztowa z pewnością mu odpisze. My zaś musimy pochwalić Zawiszę za porządną kaligrafią, za duże, wyraźne literki.

**P. Helenie Łaskiej.** Gramatyka dla małych dzieci najlepsza Jeskiego.

**P. Karolowi Eichlerowi w Radomiu** odesłano powtórnie żądane N-ra., należałoby przeprowadzić poszukiwania na poczcie miejscowej, gdyż Pismo od nas najakuratniej jest wysyłane.

**Fala dniewrowa i Czarnobrewka** myślą się bardzo, bo w naszej redakcyi tak łatwo się nie zapomina o korespondentach. Gołąbka pocztowa przygotowała już zadanie, wydrukujemy jej liścik w następnym Numerze Pisma.

**Topolkę z Żytomierza** upewniamy, że sąd konkursowy nie jest wymagający, a roboty nawet i małych, niewprawnych rączek, przydać się mogą ubogim dzieciom. Braciszko wi radzimy do ślicznego pseudonimu „Pacholę” dodać przymiotnik „złote”, będzie najwłaściwszy.

**Złote pacholę** tak wyraźnie i porządnie pisze, że z przyjemnością zaliczamy je do rzędu stałych korespondentów.

**Konwalijka**, dawna i miła korespondentka, powinna już wiedzieć przecież, że liściki, zwłaszcza tak porządnie pisane, nie mogą się nam naprzykrzyć, lecz przeciwnie po uciążliwej pracy stanowią przyjemny odpoczynek. Osoba, przez Konwalijkę wspomniana, znana jest i poważana w naszej redakcyi.

**Litwinka** otrzymała już zapewne żądany Nr. Cieszymy się niezmiernie, że „Branka litewska” tak się czytelnikom podoba, autorka także dziękuje serdecznie za liczne wyrazy uznania ze wszęch stron dochodzące.

**Literat** ma zupełną słuszność, że tegoroczne wakacje niewiele mogły przyjemności przynieść; może też dla tego tak mało nadeszło opisów.

**Polka Mazurka** tyle zajmujących rzeczy napisała o Szwajcaryi i cudnych jej krajobrazach, że liścik przeczytany był cały jednym tchem, chociaż kaligrafia... dużo pozostawia do życzenia, a „jednym tchem” naprawdę czytać było potrzeba, bo przecinków i innych znaków przystankowych brakło zupełnie w tej miłutkiej bazgranince. „Wieczory” będą wysyłane według żądania, chociaż w takim razie najstosowniej byłoby składać odrazu prenumeratę roczną. A co znaczy załączony wierszyk? Niema o nim żadnej wzmianki w liściku.

**Dzieweczce z nad Stochodu** serdecznie dziękujemy za śliczny upominek, tem miłszy, że to własnych rąk robota. Geografią i wierszyk odesłano, należy się nam jeszcze kop. 25. Inne życzenia, o ile to możliwe, będą spełnione. Mała zmiana w pseudonimie była konieczna. Dawniejszy taki był ładny, że szczerze go żałujemy.

**Goplana** wcale nie była w redakcyi zapomniana, a co do robotki, ślicznie mówi Goplana, że nagroda jest rzeczą podrzędną, myśl obdarzenia ubogiego dziecka powinna wystarczać pocziwym serduszkom

**Mgła i Muszka brzęcząca**, każda stosownie do swego wieku, piszą śliczną kaligrafią, miło odbierać liściki tak ładnie pisane. Bueiki braciszka, choć nie mogą mieć udziału w konkursie, z wdzięcznością przyjmujemy. Książeczka wysłana.

**Wiosna** może być spokojna o robotkę, zdążyła w sam czas, ale przydałaby się zawsze, choćby i po rozstrzygnięciu konkursu nadeszła.

**Mała Amazonka** zapewne już w Nrze. 39 ujrzała, (nie *ujrzała*) odpowiedź na swoje pytanie. Cieszymy się bardzo, że „Branka Litewska” tak się wszystkim podoba.

**Wolyniance** odesłano żadaną książeczkę.

**Rybka na Mazowszu** nie w wodzie chyba, lecz na drzewach owocowych przebywa, skoro tak ślicznymi gruszczykami przyjaćciół obdarza. Dzięki stokrotne, Rybko kochana.

**Kanarkowi** donosimy, że szafran pochodzi z Azji, dziś hodowany jest w różnych cieplejszych krajach. Kwiat jego żółty ma w głębi włókienka czerwone, pachnące, one to w handlu noszą nazwę szafranu. Na jeden funt tego specyału trzeba oskubać 20,000 kwiateczków. Miło nam bardzo zaspokoić chwałebną ciekawość kochanego Kanareczka. Tyle mamy szarad i homonimów wierszowanych, że proza musi im ustąpić pierwszeństwa.

**Krakowianka z nad Nidy** zawsze nas zachwyca pięknnością swego papieru listowego. Rozwiązanie trafne.

**Mazurka z nad Narwi** wybrała robotkę najstosowniejszą, ubogie dzieci skromne tylko ubiory nosić mogą. Za serdeczne wyrazy, serdecznie dziękuję.

**Różyczka majowa** nie pożałuje zapewne czasu użytego na wyuczenie się tego ślicznego wiersza na pamięć. Co do kwiatów, „kochana pani” podziela zupełnie upodobanie Różyczki majowej, latem cieszy się świeżymi, a zimą musi się zasuszonemi pocieszać.

Kochana Iskierko z cichego kącika! Znam cię doskonale. Twój pseudonim zachwyił mnie, gdyż lubię ten cichy kącik. Dawno już w nim nie byłam, a radabym bardzo. Co ci się najlepiej podoba w naszych kochanych „Wiezorach?” bo mnie — wszystko bardzo zajmuje, a ich czytanie zaliczam do najpięwszych przyjemności. Czy Jadzia nie pisuje? Uściskaj odemnie Jazdę i Zosię. Odpisz prędko i zgodnij, Mieciu, jak na imię Jedlinec.

Drogie Poziomko kujawska i Wiejska dziewczeczko! Czuję jakąś sympatyą do was, drogie współkorespondentki, więc piszę i mam nadzieję, że mi odpowiecie. Zdaje mi się, że jesteśmy rówieśniczkami, to jest mamy lat 12 i mieszkamy wszystkie trzy na wsi, czy zgadłam? Ty, Poziomko, jesteś moją imienniczką; zgadzam się z tobą, bo bardzo lubię grać. Czy zrobiliście robotki na konkurs? ja uszyłam sukienkę. Ścisła was kochająca, choć nieznaną, Halka. Brzydotce z nad Tamizy przesyłam pozdrowienie.

Kochana Wiejska Dzieweczko! Przepraszam cię, że tak długo nie odpisywałam na twój miły liścik. Rzeczywiście mam na imię Jadwiga, co sama odgałaś. Donieś mi, jak ci wakacje zeszły? Czyś co zrobiła na konkurs? Ja uszyłam, choć z wielkim trudem, spódniczkę i przyznam się, że to pierwsza w moim życiu robota. Pisuj czasem do mnie, twoja Mała Laska.

Kochana Wajdelotko! Zawstydzasz mię doprawdy, droga nieznaną, od ciebie otrzymuję zawsze prędką odpowiedź a sama na nią zebrać się nie mogę. Zadzroszczę ci niewymownie, że mieszkasz w Wilnie, ach! jak ja pragnę poznać to miasto. Czy uszyłaś robotkę na konkurs, czy pisałaś choć raz do Gołąbki pocztowej? Odpisz mi na te pytania i donieś coś o sobie. Przyjm serdeczne pozdrowienia od Konwalijki.

Droga Topolko srebrna! Przepraszam cię, że tak długo do ciebie nie pisałam, ale jestem nadzwyczaj leniwą do pisania. Pytałaś, ile mam rodzeństwa; otóż mam tylko trzy siostry. Proszę cię, donieś mi, co z nauk i talentów najwięcej lubisz i jak wygląda twoja osobka. Ja jestem brunetka w całym znaczeniu tego wyrazu, na swój wiek małego wzrostu. A teraz dowiedzenia, moja droga, twoja Czarnobrewka.

Droga Jaskółeczko z nad Sekwany! Mam do ciebie oddawna wielką sympatyą i chciałabym bardzo cię poznać. Czy lubisz grać? bo ja nie. A teraz przesyłam ci siostrzane uściskanie z prośbą, byś odpisała twój Różyczce majowej

Kochana Trawko z nad Konika! Nie znam cię wcale osobiście, ale wiele słyszałam o tobie; wiem, że mieszkasz w gubernii Mińskiej na wsi. Masz dwóch braci, starszy nazywa się Adam, a drugi Stefan, a sama masz imię Amelcia. Zgadniesz pewnie z łatwością, kto jest kochający cię z całego serca Kanarek.

Kochana Podlasianko! Domyślam się kto jesteś. Nazywasz się Leontyna, byłaś rok na pensyi u pani B. Odpisz, czy domysł mój trafny. Życzliwa Wiosna.

Drogie korespondentki Wiezorów! Jeśli która z was chce zawiązać zemną korespondencyą przez „Wieczory” niech napisze co o sobie, a ja jej odpowiem. Życzliwa 14 letnia Dzieweczka z nad Stochodu.

Droga Wilnianko! Dziękuję ci za twój liścik, sprawił mi wielką przyjemność. Domyśliłam się, że się nazywasz Marysia B., tej zimy brałaś lekcye rysunku u pani K. z siostrą moją Manią i Marysią K. Bardzo mi się podobałaś z opisu siostry mojej Mani i dla tego jestem rada, że mogę zaznajomić się z tobą chociaż listownie. Ścisłam cię serdecznie, Fala dniewrowa.